CZWARTEK

# ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 36 24 MARCA 1977 R CENA 1,50 ZŁ

Nasza akcja KARETKA „R" zyskuje nowych sojuszników. Poświęcamy jej dziś str. 4

# „WSZYSTKO, CO NASZE, POLSCE ODDAMY..."

**W chwilę przed decydującym, ostatnim natarciem dziewczęta na Wieży Spadochronowej w Katowicach zaczęły śpiewać. Najpierw bardzo cicho, a potem coraz głośniej popłynęły słowa: *„Wszystko, co nasze, Polsce oddamy..."* I oddały wszystko – swoje rozwiewane przez wiatr włosy, swoje zaczerwienione od czuwania oczy, swoje kilkunastoletnie życie.**

**O filmie „Ptaki ptakom" – piszemy na str. 3**

Fot. J. Hanusik

## HARCERSKIEGO RAPORTU ZJAZDOWEGO OSTATNIE DNI

ZJAZD VI ZHP

## W sobotę, 26 marca, proponujemy zwołać zbiórkę rady szczepu lub rady drużyny

Ostatnim akordem Harcerskiego Raportu Zjazdowego ma być, jak zapewne wszyscy wiecie, zorganizowanie w dniu rozpoczęcia obrad VI Zjazdu ZHP w Waszej szkole i klasie wystawy obrazującej działalność i osiągnięcia Związku Harcerstwa Polskiego, Waszego szczepu, drużyny i zastępu w okresie ostatnich 4 lat, które upłynęły od poprzedniego, V Zjazdu ZHP.

Postanowiliśmy pomóc Wam w wykonaniu tego zadania. W kolejnym numerze „Świata Młodych", który ukaże się pojutrze, w sobotę, 26 marca br., znajdziecie specjalny plakat-gazetkę. Jest ona tak zaprojektowana, że pod każdą informacją ogólną, mówiącą o działalności i osiągnięciach całego ZHP jest zostawione miejsce, żebyście mogli wpisać tam to, co zrobił Wasz zastęp, drużyna, szczep.

***Proponujemy Wam w związku z tym, żebyście pojutrze, w sobotę, zwołali zbiórki rad drużyn i szczepów,*** na których (posługując się instrukcjami wydrukowanymi na plakacie) dokonacie oceny Waszej działalności, wykonacie napisy, wkleicie je w odpowiednie miejsca i wywiesicie w szkole plakaty-gazetki, tak, aby w poniedziałek, w dniu rozpoczęcia obrad VI Zjazdu ZHP, powitały one pierwszego ucznia, który wejdzie w mury szkoły.

A więc – ***pojutrze spotykamy się na zbiórkach rad szczepów i drużyn!***

## DZIENNIK Z KOPERNIKIEM

**IŁAWA (HSI).** Uczniowie Zbiorczej Szkoły Gminnej im. Mikołaja Kopernika w Iławie uczcili 504 rocznicę urodzin swego bohatera w oryginalny sposób. Zamiast okolicznościowego apelu przygotowali specjalne wydanie... telewizyjnego wieczoru z dziennikiem.

Rozlega się sygnał dziennika. Przy stole z mikrofonami redaktorzy – Piotr Miller, Teresa Kołecka, Elżbieta Kowalska, Jarek Sanis. Pierwsza wiadomość: „Dnia 19 lutego 1473 roku w Toruniu urodził się Mikołaj Kopernik. Głos oddajemy naszemu korespondentowi z Torunia..." – Tenże, czyli Jarek, mówił o młodości wielkiego astronoma. Potem słuchacze szkolnego radiowęzła wysłuchali korespondencji z Krakowa, Olsztyna, Fromborka, Padwy, Bolonii i Ferrary. Każda z nich donosi, co robił Kopernik w tych miejscowościach. Korespondencje przeplatane są wierszami; w jednym z utworów pada pytanie: „Czy wśród nas rosną nowi Kopernicy?"

Następnie, jak w prawdziwym dzienniku, podano wiadomości o aktualnych wydarzeniach: wyniki turnieju wiedzy obywatelskiej i zapowiedź szkolnych zawodów sportowych. **(ap)**

**BIELSKO-BIAŁA (HSI).** W Jaworzu Średnim k/Bielska-Białej jest szkoła podstawowa posiadająca własne... muzeum oceanograficzne.

## Rekin w szkole

Nosi ono imię bosmana Erwina Pasternego, który w czasie dalekich rejsów złowił wiele okazów egzotycznej fauny morskiej – m.in. półtorametrowego rekina, ośmiornice, diabła morskiego, ryby-piły – i przekazał te trofea młodszym kolegom ze swej rodzinnej wsi. **(ap)**

**WARSZAWA (PAP).** Dwadzieścia lat trwały badania zasobów wód podziemnych naszego kraju. Prace kierowane przez Instytut Geologiczny w Warszawie stały się podstawą do określenia pod względem jakościowym i ilościowym zasobów wody jakimi dysponuje Polska i poszczególne jej regiony. W wyniku tych badań powstaje obecnie „Atlas zasobów wód podziemnych i ich wykorzystania". Jest to największe

## „Wodny" Atlas Polski

opracowanie z zakresu hydrogeologii. Zawierać będzie m.in. informacje o strukturze geologicznej warstw wodonośnych, wielkość zasobów wodnych, głębokość ich występowania, skład chemiczny.

W atlasie określony zostanie stopień wykorzystania podziemnych źródeł oraz przyszłe zapotrzebowanie na wodę. Efekt ogromnej pracy naukowców będzie miał podstawowe znaczenie dla planowania gospodarki wodnej oraz ochrony wód głębinowych przed zanieczyszczeniami. **(mh)**

## SŁUPSKA SOBOTA W MŁODZIEŻOWYM WYDANIU

**SŁUPSK (HSI).** Gospodarzami kolejnej „Słupskiej soboty" – tradycyjnie organizowanego w wolne soboty cyklu imprez rozrywkowych – byli najmłodsi mieszkańcy miasta. M.in. w Teatrze Muzycznym odbył się przygotowany przez harcerzy trzygodzinny koncert, w którym wzięło udział kilkadziesiąt młodzieżowych zespołów i solistów, gorąco oklaskiwanych przez przybyłą licznie publiczność. Na podziw zasłużyli także uczestnicy biegów przełajowych. Mimo zimna i błota 460 uczniów szkół podstawowych i średnich z prawdziwie sportowym hartem pokonało trasę wiodącą przez wąwozy Północnego Lasku. **(ap)**

*O tym się mówi:*

# Mord w Libanie

**Zamordowany został Kamal Dżumblatt – postępowy libański działacz polityczny, sekretarz Postępowej Partii Socjalistycznej. Zamachowcy ostrzelali z zasadzki jego samochód na wąskiej, górskiej szosie w pobliżu miejscowości Deir Duri Kfarine, 50 km od Bejrutu. Poprzednio kilkakrotnie już organizowano próby zamachu na tego polityka. Wszystkie kończyły się niepowodzeniem. Tym razem, niestety, kule skrytobójców dosięgły libańskiego polityka. W rozbitym samochodzie oprócz niego zginęły jeszcze dwie osoby. Zabójstwa dokonano w odległości niespełna kilometra od posterunku Arabskich Sił Bezpieczeństwa, które sprawują kontrolę nad przestrzeganiem zawieszenia broni w Libanie.**

**Mimo że w komunikatach prasowych mówi się o „nieznanych sprawcach" morderstwa, niemal powszechnie winą za ten akt politycznego terroru obciąża się przedstawicieli skrajnie prawicowych ugrupowań libańskich skupionych wokół tzw. Falangi. Rzecznicy organizacji palestyńskich podkreślali również w swoich wypowiedziach, że zabójstwo dokonane zostało z inspiracji Izraela i służb wywiadowczych USA.**

**Postać Kemala Dżumblatta była szeroko znana w libańskim życiu politycznym. Przez wiele lat był on deputowanym do parlamentu, powierzano mu funkcje ministra. Przed 28 laty założył Postępową Partię Socjalistyczną, a w roku 1965 sformował lewicowy front libański, w skład którego weszła m. in. partia komunistyczna. W dniach bratobójczej wojny Dżumblatt stał na czele sił postępowych, domagał się zrealizowania wielu reform społecznych i gospodarczych, które zażegnałyby kryzys. Przeciwstawiał się podziałowi terytorialnemu Libanu opowiadając się za stworzeniem państwa świeckiego. Był cenionym sojusznikiem ruchu palestyńskiego, popierając słuszne żądania utworzenia samodzielnego państwa Palestyńczyków.**

**Kamal Dżumblatt wywodził się z rodziny o dużych tradycjach w działalności politycznej. Jego ojciec również został zamordowany przez przeciwników ideowych. Latem ubiegłego roku ofiarą zamachu padła jego siostra.**

**Śmierć Kamala Dżumblatta jest nie tylko tragedią jego rodziny. Grozi ona nieobliczalnymi konsekwencjami. Wielu komentatorów pisze, że z pewnością wywoła ona zaostrzenie sytuacji wewnętrznej w Libanie, spowodować może ponowny wybuch bratobójczych walk w tym kraju. A rozpalenie na nowo wojny w Libanie niezwykle skomplikowałoby sytuację polityczną na Bliskim Wschodzie, mogłoby doprowadzić do znacznego ograniczenia możliwości działania organizacji palestyńskiej. (kp)**

# DWA MIESIĄCE PREZYDENTA CARTERA

**20** stycznia br. został zaprzysiężony jako 39 prezydent Stanów Zjednoczonych człowiek, o którym w tym momencie Amerykanie wiedzieli tylko, że był dobrym gubernatorem stanu Georgia i znakomicie dał sobie radę ze wszystkimi pułapkami kampanii wyborczej. Składając przed kongresem USA przysięgę rozpoczął od słów: „Ja, Jimmy Carter..." potwierdzając, że nawet pełniąc ten najwyższy urząd nie chce tej formy imienia zastąpić oficjalną: James Earl.

Jako pierwszy prezydent USA po zaprzysiężeniu na stopniach Kapitolu nie skorzystał z samochodu i przeszedł na czele pochodu wzdłuż Alei Pensylwania do Białego Domu, by tam przyjąć paradę. Chodzi w dżinsach, uczęszcza do teatrów, pokazuje się na ulicy. Córkę zapisał do zwykłej państwowej szkoły, a nie ekskluzywnej prywatnej.

Kiedy 12 stanów zaskoczyła najcięższa w obecnym stuleciu zima, wykorzystał natychmiast i tę sytuację dla podkreślenia odmienności swego stylu rządzenia. Polecił obniżyć temperaturę urządzeń ogrzewających Biały Dom, pokazywał się w telewizji w ciepłej kurtce, by dawać przykład, że „wszyscy powinni zmniejszać zużycie energii". Wprowadził efektowną formę dialogu prezydenta z obywatelami. 5 marca przez 2 godziny prowadził nagrywane przez telewizję rozmowy telefoniczne. Wysłuchał pytań i odpowiedział 42 „szczęśliwcom". Połączyć z Białym Domem pragnęło się 9 milionów Amerykanów.

Ten nowy styl sprawowania urzędu może sobie Carter zaliczyć jako niewątpliwy sukces pierwszych dwóch miesięcy prezydentury. Jest w stylu amerykańskiej demokracji, która swoją klasową ograniczność lubi przybierać w takie właśnie przemawiające do wyobraźni formy.

## Zima stulecia

Tegoroczna zima dosłownie sparaliżowała północnowschodnią i centralną część Stanów Zjednoczonych. Amerykanin „przyrósł" do samochodu i bez niego staje się całkowicie bezradny – nie może się dostać do pracy i wrócić do domu, zrobić zakupów, jest odcięty od lekarzy, urzędów, policji i wszelkiej pomocy. Kiedy w Buffalo śnieżyca uniemożliwiła całkowicie ruch, ludzie – w ich własnym przekonaniu – znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Spędzali noce w urzędach, na korytarzach szpitali, w komisariatach policji. 30 osób zamarzło lub zatruło się na śmierć we własnych samochodach.

Władze, służba drogowa były zupełnie bezradne. Gubernator innego stanu, Ohio, nie widząc żadnego wyjścia, zarządził... publiczne modły o odwrócenie fali mrozów.

W stanach: Pensylwania, Ohio, Indiana i Illinois na przełomie stycznia i lutego unieruchomionych zostało na kilka tygodni 60 proc. zakładów. Utknęły na trasach pociągi, unieruchomiony został transport wodny na rzekach i jeziorach.

W Ameryce i domy, i fabryki uzależnione są od ogrzewania gazowego. Jakiekolwiek wahania w dopływie gazu w starych domach powodują pękanie rur i inne szkody. I tak się zdarzyło tej zimy, kiedy gazu zabrakło w stanach nawiedzonych klęską zimy. W lutym „New York Times" opisywał sytuację starszej kobiety i jej bezrobotnego brata, którzy żyli w takim nieopalanym domu. Lód pokrywał podłogę. Lokatorka doznała tak poważnego odmrożenia nóg, że przebywa w szpitalu i grozi jej amputacja stóp.

Do dziś dyskutuje się, czy braki gazu w tej części USA zaistniały rzeczywiście, czy podyktowane były interesami koncernów pragnącymi i na tym nieszczęściu zbić interes.

## Nie takie to proste

W czasie kampanii wyborczej Carter obiecywał szereg posunięć uzdrawiających gospodarkę USA, a przede wszystkim zmniejszenie bezrobocia.

A gospodarka ta nie jest w najlepszym stanie. *„Nasz kraj już od wczesnych lat pięćdziesiątych* – pisze prof. Thurow – *gdy zostaliśmy prześcignięci przez Kuwejt – nie ma już najwyższego dochodu narodowego na głowę ludności. Przeciwnie: byliśmy, albo jesteśmy teraz prześcigani przez wiele krajów europejskich".* 10 proc. bogatych dzieli między siebie jedną czwartą dochodu narodowego, a 10 proc. najuboższych zaledwie jedną pięćdziesiątą.

Z trudności gospodarczych Carter pragnie wyjść przez zmniejszenie podatków i organizację robót publicznych, co ma zmniejszyć bezrobocie. Pokrzyżowała mu nieco te plany zima. Za dodatkowe zużycie energii Amerykanie zapłacili w granicach od 3–8 mld dolarów. „Zjadło" to wprowadzoną przez prezydenta obniżkę podatków.

Jeden z najbardziej popularnych amerykańskich felietonistów tak skwitował ten plan:

„W firmie Rootin Motors składa wizytę pewien handlowiec z firmy Glutton Machinery. Wyjaśnia on, że Glutton może obecnie zaopatrzyć Rootin w maszynerię, która wykona pracę tysiąca ludzi i zaoszczędzi mu 5 mln dolarów rocznie. Po roku staje się zbędna prawie cała tamtejsza załoga i otrzymuje wymówienie. Zwolniony zostaje m. in. niejaki Laidlaw.

I rzeczywiście, udoskonalona maszyneria pozwala na automatyczne wytwarzanie więcej dziennie o 200 samochodów typu „Delfin". Ale oto pewnego dnia ustaje ich zbyt. Prezes zwołuje zebranie swoich doradców handlowych i pyta: „Co się właściwie dzieje? Czemu nie sprzedajemy nowych Delfinów"?

„Ponieważ Laidlaw rozgląda się wciąż za nową pracą" – powiada jeden z handlowców.

„A kto to jest ów Laidlaw?" – pyta prezes.

„To jeden z ludzi, których pan odprawił po zainstalowaniu nowej maszynerii."

„Czemu nie zatrudnić znów Laidlawa?" – sugeruje jeden z uczestników dyskusji.

„Nie możemy sobie na to pozwolić!" – krzyczy prezes.

„A może zamiast ponownie go angażować, zapewnić mu redukcję podatków? Zechce wtedy znów kupić samochód".

„Laidlaw nie płaci w ogóle podatków" – stwierdza prezes.

„Jest to bezrobotny. Musimy wpierw znaleźć mu posadę".

„Ale jak?" – pyta jeden z handlowców."

Bo rozwiązania gospodarcze prezydenta Cartera są co najmniej dyskusyjne. Brytyjski premier Callaghan jest w tej sprawie sceptykiem: „Przyzwyczailiśmy się do myślenia, że można wyjść z recesji i zwiększyć zatrudnienie przez redukcję podatków i zwiększenie wydatków rządowych. Powiem wam z całą szczerością, że taka opcja przestała istnieć i że dotychczasowe jej realizacje pociągały za sobą większe dawki inflacji w gospodarce oraz zwiększenie bezrobocia."

## Niewiadoma

W polityce zagranicznej administracja prezydenta Cartera od pierwszych dni wykazała ogromną aktywność. Wiceprezydent Walter Mondale odwiedził najbliższych sojuszników: Europę Zachodnią i Japonię. Cyrus Vans udał się na Bliski Wschód, Andrew Young złożył wizyty w krajach afrykańskich, Clark Clifford prowadził rozmowy na Cyprze.

O celach i rezultatach tej polityki niewiele można powiedzieć. Najbardziej czytelna jest podróż Younga do Afryki. Chodziło o przywrócenie wpływów amerykańskich w tej części świata, skompromitowanych współpracą z RPA, popieraniem białego reżimu w Rodezji i próbą ingerencji w wewnętrzne sprawy Angoli.

Tą aktywnością zagraniczną Amerykanie nie są zachwyceni. *„Zamiast poszukiwać rozwiązań dla polityki finansowej* – pisał „New York Times" – *zamiast solidnie zajmować się ekonomią, Carter uległ pokusie polityki zagranicznej".*

W końcu marca br. sekretarz stanu, Cyrus Vance odwiedzi Moskwę, by rozpocząć rozmowy rozbrojeniowe. To będzie najważniejszy probierz aktualnej zagranicznej polityki USA. Cieniem na tej podróży kładą się jednak antykomunistyczne ataki pod hasłem tzw. obrony praw człowieka. Budzą one opory również w USA. Senator Sparkoman wyraził się na ten temat: *„Jest rzeczą nierozsądną, a jeszcze bardziej niebezpieczną, usiłowanie zmiany stosunków wewnętrznych zarówno w krajach sojuszniczych, jak też w krajach przeciwników. Na tym niewątpliwie polega jeden z głównych wniosków wynikających z wojny wietnamskiej".*

Takie to były pierwsze dwa miesiące prezydenta Cartera.

JERZY MAJKA

Fot. CAF

# *Siedmiomilowe buty*

*... a na dodatek może jeszcze lampa Alladyna. Nim jednak ze wstrętem właściwym dla wieku dojrzałego odrzucimy pokusę zajmowania się bajkami, zastanówmy się chwilę nad nimi. Siedmiomilowe buty to przy odrobinie wyobraźni nic innego jak np. samochód czy samolot. A lampę Alladyna, mając dobre chęci śmiało możemy uznać za pierwowzór filmu czy telewizji. Nie, nie chodzi tu wcale o udowodnienie karkołomnego stwierdzenia, że pradawni bajarze potrafili np. przewidzieć rozwój techniki. Oni wyrażali tylko marzenia ludzi, siłą ich wyobraźni stworzone zostały „magiczne przedmioty", przy pomocy których mogły być zrealizowane marzenia.*

*My, żyjący współcześnie jesteśmy w o tyle lepszej sytuacji, że w naszych czasach fantastyczne wynalazki praprzodków straciły magiczną moc – stały się szarą rzeczywistością.*

*Perforowane taśmy komputerowe, wielopiętrowe rachunki, skomplikowane urządzenia laboratoriów badawczych – w nich zawiera się nasza przyszłość. W nauce i technice kryje się wiedza o tym co będzie. Wszystko nauczyliśmy się mierzyć, ważyć, programować, obliczać. Cóż zatem począć z towarem tak subtelnym i wrażliwym jak ludzka wyobraźnia? Czy dziś przydaje się ona na coś, czy wszystko co człowiek stworzył najpierw powstać musi w jego wyobraźni. Czy wyobraźnia może się przydać np. dyrektorowi wielkiej fabryki produkującej konstrukcje stalowe. Zadając to ostatnie pytanie często spotykałem się z negatywnymi odpowiedziami. Niepotrzebna, no bo i po co! Wszystko co ważne dyrektor ma w papierkach, na wykresach, we wskaźnikach, w swojej własnej głowie i w głowach najbliższych współpracowników. Ale co zrobić, gdy przyjdzie np. rozwiązywać jakiś skomplikowany konflikt między pracownikami. I tu już trzeba trochę wyobraźni, aby zrozumieć obie strony, aby przewidzieć skutki decyzji, której nie można wyrazić we wskaźnikach i cyfrach. Ale bez niej nawet i w produkcji daleko się nie zajedzie. Może ona też podszepnąć coś gdy opracowywać się będzie analizy na temat rozwoju danej dziedziny wytwarzania, zmian w technologii. Wiedza i doświadczenie wzbogacone odrobiną wyobraźni mogą podsunąć rewelacyjny pomysł nowych rozwiązań konstrukcyjnych, pomóc w zrobieniu jeszcze jednego kroku naprzód.*

*Inżynier, naukowiec, artysta, projektant mody ale także spawacz, ślusarz, rolnik – w każdym zawodzie, w pracy na każdym stanowisku trochę wyobraźni jest po prostu niezbędne. Bo zawsze podejmuje się jakieś decyzje, rozwiązuje się jakieś trudności. Poradzić sobie z nimi można tylko wtedy, gdy do tego, co się wie, do tego, czego się człowiek nauczył, dodana zostanie wyobraźnia i pomysłowość.*

*Nie ma więc problemu czy wyobraźnia jest potrzebna czy też na niewiele się dziś przydaje. Wiele pomysłów racjonalizatorskich, które zgłaszają uczniowie, opartych jest właśnie na pomyśle, na wyobraźni a nie na szczegółowym, dogłębnym przestudiowaniu jakiegoś problemu technicznego.*

*Ale wyobraźnia przydaje się nie tylko w nauce czy w technice. Na szosie z Warszawy do Olsztyna obserwowałem taką sytuację. Kierowca „Syreny" przejeżdżając przez niewielkie wzniesienie zaczął na zakręcie wyprzedzać ogromną ciężarówkę. I nagle z przeciwka ukazał się rozpędzony autobus. Do zderzenia tym razem nie doszło. Ciężarówka zjechała niemal na pobocze i „Syrena" o centymetry wyminęła autokar. Blady, roztrzęsiony kierowca „Syreny", z którym rozmawiałem w chwilę po tym wydarzeniu powtarzał w kółko – „jak mogłem nie przewidzieć takiej sytuacji". Brak wyobraźni może czasem kosztować nawet życie.*

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

**2 marca br. w Ośrodku Harcerskim w Chorzowie odbył się prapremierowy pokaz nowego polskiego filmu „Ptaki ptakom". Uczestniczyli w nim śląscy harcerze ze szkół podstawowych i ponadpodstawowych, a pokaz połączony był ze spotkaniem z realizatorami filmu i odtwórcami głównych ról.**

# „WSZYSTKO, CO NASZE, POLSCE ODDAMY..."

Pierwszego września 1939 roku podporucznik rezerwy, nauczyciel gimnazjalny, Karol Profaska, zamiast w szkole stawić się miał w koszarach swego pułku. Nie dotarł jednak na wyznaczone miejsce. Niemcy przekroczyli granice Polski, wtargnęli już na przedmieścia Katowic, Profaska niespodziewanie znajduje się na linii ognia...

Nowy film polski w reżyserii Pawła Komorowskiego pt. „Ptaki ptakom" to opowieść o tragicznych dniach września 1939 roku na Górnym Śląsku, o walce byłych powstańców śląskich, robotników i harcerzy z niemieckimi dywersantami, a następnie z regularnymi oddziałami Wehrmachtu. Film jest wierną ekranizacją powieści pod tym samym tytułem, znanego katowickiego poety i prozaika, Wilhelma Szewczyka, która ukazała się nakładem Wydawnictwa MON w 1967 roku. W tym samym roku autor otrzymał za nią nagrodę literacką III stopnia Ministra Obrony Narodowej.

„Ptaki ptakom", to film fabularny, ale jednocześnie dokument. Dokument bohaterstwa i ofiarności Górnoślązaków w walce z hitlerowskim najeźdźcą. W barwny, wzruszający i emocjonujący sposób ukazuje zbiorowego bohatera – mieszkańców Katowic, i to zarówno dojrzałych, zaprawionych w walce powstańców, jak i kilkunastoletnich harcerzy, którzy zmuszeni tragiczną sytuacją, bez wahania stają przed próbą bohaterstwa. Spotykamy tu powstańca, hutnika z Załęża, Jana Barcika, i jego córkę Trudkę – harcerkę, zastępową. Oboje giną – ojciec ratując kolegów, córka broniąc Wieży Spadochronowej. Bronią robotnicy swoich domów, fabryk, hut i kopalń. Wszystkie pokazane fakty są prawdziwe. Dowódca sił powstańczych Katowic, Nikodem Renc i kapral Wojska Polskiego, Wincenty Fojkis, żyli naprawdę. Inni bohaterowie opowieści również, tylko, że wtedy byli bezimienni, a dziś noszą imiona i nazwiska nadane im przez autora.

Osobny wątek filmu stanowi historia walki grupy harcerzy na Wieży Spadochronowej, gdzie w pierwszych dniach września kilkanaście drziewcząt i chłopców broniło się przed atakującymi hitlerowcami. Ten jakże bohaterski i dramatyczny epizod minionej wojny został pokazany w filmie po raz pierwszy.

„Ptaki ptakom" są dziełem szczególnym – balladą, poematem i kroniką. Dla starszych – kolejnym wspomnieniem, dla młodszych – interesującą lekcją historii. Niewielu jest żywych świadków wrześniowych wydarzeń. Są wśród nich ptaki, które mogły być widzami w teatrze wojny. I właśnie p t a k i   p t a k o m opowieść o tym zaniosły, p t a k i   p t a k o m mówią aż do dzisiaj: „Czy słyszeliście te salwy?"

W rolach powstańców i robotników wystąpili w filmie aktorzy zawodowi, głównie z teatrów Katowic, Zabrza i Sosnowca. Role harcerzy grają uczniowie szkół ponadpodstawowych z Katowic i Bytomia: **Beata Knichała, Ewa Telega, Irka Kamińska, Katarzyna Pawlak, Ewa Matysek, Mirka Przeworska, Andrzej Paszczek, Adam Kulczycki, Krzysztof i Leszek Rogala.** Oto co mówią o filmie i swoim w nim udziale:

**– Ten miesiąc wakacji spędzony wraz z ekipą filmową, to nasza, jak dotąd, największa życiowa przygoda. Raczej nikt z nas nie marzył o karierze aktorskiej, ale bardzo nam się ta praca spodobała, choć wcale nie jest łatwa. Niektóre sceny powtarzaliśmy po kilka, kilkanaście razy. Wszyscy jesteśmy harcerzami i to bardzo nam pomogło w zagraniu naszych ról. Reżyser powiedział, żebyśmy grali tak, jak uważamy, żebyśmy się zachowywali tak, jak zrobilibyśmy to na miejscu naszych rówieśników z 1939 r. Wiedzieliśmy tylko ogólnie, co mamy zagrać, a jak to zrobimy, zależało od nas samych. I chyba udało nam się zrobić to dobrze. Przynajmniej tak twierdzi reżyser.**

**Maciek Maciejewski** jest uczniem LO w Łodzi. W filmie gra rolę harcerza ze Świętochłowic, Rafała Wilima:

**– Trochę wstyd mi się przyznać, ale przed filmem niewiele wiedziałem o obronie Śląska i walce na Wieży Spadochronowej. Ot, tyle, co z lekcji historii. Teraz wiem prawie wszystko. I myślę, że choćby tylko po to, żeby poznać historię śląskiego września, warto pójść na ten film. Wiem, że w Katowicach, Chorzowie, Bytomiu i innych miastach województwa katowickiego na film wybierają się całe rodziny, zastępy i drużyny harcerskie. Podobnie będzie chyba i w innych regionach kraju.**

Mówi współautor scenariusza i reżyser filmu **Paweł Komorowski:**

**– O tym filmie można wiele mówić – o warsztacie, kłopotach, przeżyciach. Opowiem jedno: z młodymi aktorami praca układała się znakomicie. Jak to często na planie bywa, zdarzały się sytuacje różne, głównie wesołe, bo i wykonawcy są weseli. Ale jest w filmie taka scena, w której harcerki pod koniec obrony Wieży Spadochronowej śpiewają Hymn Harcerski. Gdy kręciliśmy tę scenę, musieliśmy ją w połowie przerwać na kilkanaście minut – dziewczęta rozpłakały się...**

DARIUSZ KONIEC

Fot. Michał Żbikowski i archiwum

*Oto uczniowie szkół ponadpodstawowych z Katowic i Bytomia, którzy grali w filmie role harcerzy*

# REDAKCYJNA POCZTA

### Panie dyrektorze!...

Pisze do was Redakcjo cała zmartwiona ósma klasa. Na jednym z apeli pan dyrektor ogłosił wiadomość, że żadnego uroczystego pożegnania szkoły nie będzie, tylko: „świadectwa i do domu!". Postanowił tak, ponieważ dwoje uczniów z naszej klasy zawiniło, i to bardzo poważnie. Czy jednak zasada „jeden za wszystkich – wszyscy za jednego" jest w tym wypadku słuszna? My się po prostu wstydzimy grona nauczycielskiego, jak również i własnych rodziców, że w taki sposób mamy się rozstać ze swoją szkołą...

**Klasa ósma ze Śmiłowic**

**OD REDAKCJI**: Mamy nadzieję, że do czasu wydrukowania listu w „Świecie Młodych" klasa ósma zrehabilitowała się wobec dyrektora szkoły. Czekamy na wiadomość ze Śmiłowic!

### Napiszcie do nas!

Nasza drużyna pragnie zdobyć imię Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. W związku z tym prosimy o pomoc w skontaktowaniu się z innymi drużynami noszącymi imię tego poety.

**Drużyna Harcerska**
**przy Szkole Podstawowej nr 86**
**ul. Krakowska 2, 50-424 Wrocław**

### Dlaczego są niedyskretni?

Od ubiegłego roku prowadzę pamiętnik, w którym zapisuję wszystkie swoje prywatne sprawy. Pamiętnik ten noszę zawsze w szkolnej teczce, bo wiem, że oprócz mnie nikt do niej nie zagląda. Okazało się jednak, że mama zajrzała do teczki i znalazła pamiętnik, w którym miałam wklejone różne listy. Mama je przeczytała! To jednak nie wszystko. Następnego dnia w szkole dałam pamiętnik koleżance, do której mam zaufanie i która wie wszystko o moich problemach. Właśnie w tej chwili podeszła nauczycielka i zabrała ten pamiętnik. Powiedziała, że będzie miała dobrą lekturę. Próbowałam pamiętnik odzyskać – bez skutku. Zapytuję: czy wolno czytać cudze pamiętniki?

**Basia**

**OD REDAKCJI: O tym, że pamiętników – bez zgody ich autorów nie wolno czytać (to samo dotyczy listów) wszyscy doskonale wiedzą. Nie mamy jednak pewności, czy nauczycielka istotnie pamiętnik Basi przeczytała? Być może zabrała go dziewczętom, gdyż zajmowały się podczas lekcji nie tym, czym powinny, a mianowicie – nauką. Podczas lekcji nie należy sobie przekazywać tak osobistych tajemnic...**

## Wesoło • Zdrowo • Bezpiecznie

**Konkurs zimowy PZU i „Świata Młodych" rozwiązany!**

# Od lodowiska do... pogotowia krawieckiego

To wcale nie przesada! Wiele spośród 573 zgłoszonych do konkursu szkół, drużyn i szczepów harcerskich, szkolnych klubów sportowych i samorządów uczniowskich nie tylko budowało lodowiska, zjazdy narciarskie i saneczkowe, place gier i zabaw, ale także organizowało punkty naprawy sprzętu i pogotowia krawieckiego.

Setki urządzonych placów gier i zabaw, tysiące imprez, sportowych, wycieczek i turniejów; wpłaty na fundusz Centrum Zdrowia Dziecka – to owoc konkursu WESOŁO–ZDROWO–BEZPIECZNIE. Nawet kaprysy aury nie przeszkodziły w sportowej zabawie. W okresach, kiedy nie było śniegu i lodu rozgrywano turnieje warcabowe, tenisa stołowego, organizowano mecze siatkówki i koszykówki, a nawet naukę i konkursy tańca. Wielką popularnością cieszyły się wycieczki krajoznawcze i marsze na orientację. Tylko w jednej szkole w Stanowicach 49 uczniów uzyskało karty rowerowe. Uczestnicy kursów rowerowych wykonywali znaki drogowe i współdziałali z inspektorami ruchu drogowego w patrolowaniu niebezpiecznych dla ruchu pieszego odcinków ulic i tras.

Realizacja wcale przecież niełatwych zadań konkursowych posłużyła również do nawiązania nowych przyjaźni i kontaktów z załogami różnych zakładów przemysłowych, z instytucjami państwowymi i organizacjami społecznymi. Bez pomocy dorosłych trudno byłoby wylać lodowisko, oświetlić je i zradiofonizować, zbudować skocznię narciarską, czy zorganizować wypożyczalnię sprzętu i punkty napraw.

Zespoły konkursowe podejmowały również działania dla środowiska. Oto młodzież z Państwowego Domu Dziecka w Czernicach pracowała przy porządkowaniu dróg, a uczniowie ze szkoły podstawowej w Osielcu zajmowali się zbieraniem surowców wtórnych, by uzyskane tą drogą pieniądze przekazać na fundusz Centrum Zdrowia Dziecka. Takich przykładów jest wiele. Wszędzie działały patrole bezpieczeństwa i zespoły opiekujące się maluchami. Wyniki konkursu świadczą również o rosnącej w szkołach roli młodzieżowych organizatorów sportu. To oni byli głównymi organizatorami i sędziami wielu zawodów sportowych i turniejów.

Jury konkursu nie miało więc łatwego zadania. Na wyróżnienie zasłużyły właściwie wszystkie uczestniczące w konkursie szkoły, organizacje i zespoły. W wyniku skrupulatnie prowadzonej punktacji nagrody w wysokości po 10 000 złotych otrzymują:

- **Państwowy Dom Dziecka w Czernicach;**
- **Szczep Harcerski przy SP w Stanowicach;**
- **Szkoła Podstawowa nr 4 w Gnieźnie;**
- **Szkoła Podstawowa w Osielcu;**
- **Sportowa Drużyna Harcerska „Żbiczki" przy ZSG w Nasielsku;**
- **I Drużyna HSPS przy LO w Jastrzębiu Zdroju;**
- **Szkoła Podstawowa w Zwierniku k/Pilzna;**
- **Drużyna Harcerska i SKS przy SP w Pstrążnej;**
- **Zbiorcza Szkoła Gminna w Jasionióce;**
- **Szkoła Podstawowa nr 18 w Olsztynie.**

**Jury konkursu przyznało również trzy nagrody specjalne po 5000 złotych Szkole Podstawowej w Łomnicy, Drużynie Harcerskiej przy ZSG w Drwini i WOSiR w Siedlcach.**

Nagrodzonym gratulujemy, a wszystkim uczestnikom konkursu dziękujemy za pracę, którą wykonali dla siebie i dla innych. Szczególne słowa uznania kierujemy pod adresem rodziców, nauczycieli, instruktorów ZHP i tych wszystkich, którzy swój wolny czas poświęcili, by organizować i bawić się razem z uczestnikami konkursu.

**JURY KONKURSU**

***PS: Nagrodzonych prosimy o podanie kont bankowych w celu dokonania przelewu nagród.***

Z apelem o ufundowanie przez członków Związku Harcerstwa Polskiego młodzieżowej karetki reanimacyjnej dla Centrum Zdrowia Dziecka wystąpili rodzice MARIUSZA ŚLIWKI, ubiegłorocznego maturzysty, który zmarł nagle na atak serca. Być może, że gdyby na czas nadjechała karetka reanimacyjna, Mariusz żyłby do dziś. Wychodząc z założenia, że i inni młodzi chłopcy i dziewczęta mogą znaleźć się w podobnej sytuacji jak ich syn, rodzice Mariusza zadeklarowali roczny zarobek jego matki, zapoczątkowując tym fundusz młodzieżowej karetki „R".

Dziś, po niecałym roku od dnia śmierci Mariusza, dzięki inicjatywie Gdańskiej Chorągwi ZHP, urzeczywistnienie marzenia osamotnionych rodziców jest coraz bliższe.

# BYŁ NASZYM KOLEGĄ I PRZYJACIELEM

Chodził z nami do klasy maturalnej IV LO im. A. Mickiewicza w Warszawie, był naszym kolegą i przyjacielem. Mariusz był prymusem szkoły. Przeważnie prymus nie jest akceptowany przez swoich rówieśników, ale tu było inaczej – był nie tylko bardzo dobrym uczniem, lecz przede wszystkim świetnym kolegą. Nigdy nie odmówił pomocy temu, kto jej potrzebował – nieraz tłumaczył nam problemy matematyczne, potrafił nauczyć, jak napisać wypracowanie, wyjaśnić zawiłą gramatykę języka angielskiego... Nieraz nasze „naukowe" spotkania odbywały się u niego w domu. Często gdy wchodziliśmy do jego małego pokoju, nie było już gdzie usiąść, a wokół stało pełno szklanek z herbatą. Kiedyś zamiast zaplanowanej powtórki przed klasówką z matematyki, nie wytrzymaliśmy i... obejrzeliśmy decydujący mecz, który polska drużyna hokejowa grała na mistrzostwach świata. Na szczęście pan profesor również oglądał mecz i nie zdążył przygotować zadań; klasówki na drugi dzień nie było.

Chodziliśmy razem do kina – Mariusz pasjonował się filmem, bywaliśmy w Filharmonii – Mariusz kochał muzykę, do późnej nocy zdarzało nam się grać w brydża czy szachy, ulubione jego gry. To on przygotowywał referaty z fizyki, zabierał głos na tematy zawiłych problemów współczesności albo rozwiązywał najtrudniejsze zadania matematyczne, wyręczając profesorów w prowadzeniu lekcji.

Szkoła nasza jest członkiem UNESCO i z tego względu często bywali u nas przedstawiciele tej organizacji – Mariusz był proszony przez dyrekcję do rozmów z gośćmi w języku angielskim, znał bowiem ten język doskonale. Brał również udział w wielu olimpiadach i konkursach przedmiotowych. Odnosił w nich sukcesy, ale nie był tych sukcesów zaślepionym kolekcjonerem. Z matematyki np. był najlepszy w szkole. Tak się złożyło, że finały dzielnicowe tej olimpiady odbywały się akurat na drugi dzień po ogłoszeniu wyników olimpiady fizycznej, w której Mariusz zajął pierwsze miejsce. Ku zdziwieniu wszystkich nie zjawił się na tym finale. Profesorowi, który zapytał się, dlaczego nie wziął w nim udziału, odpowiedział: „Nie chcę być najlepszym z dwóch przedmiotów, wystarczy mi jedno pierwsze miejsce".

Zbliżała się matura. Jako najlepszy uczeń naszej szkoły miał być wytypowany bez egzaminów wstępnych na uczelnię. Zdawałoby się, że tak uzdolniony i rzetelny uczeń nie musi się niczego obawiać. Pisemną maturę, zarówno z języka polskiego, jak i z matematyki, zdał bardzo dobrze, dalsze egzaminy przerwała nagła śmierć.

**Koleżanki i koledzy z klasy**

*To zdjęcie zostało wykonane niedługo przed maturą; pierwszy od prawej, to Mariusz Śliwka*

# KARETKA „R"

## czyli mini szpital na kółkach

Zewnątrz prawie niczym nie różni się od mikrobusu „Nysa", ale na tym właściwie kończy się podobieństwo. Karetka reanimacyjna, oznaczona literą „R", to właściwie maleńki szpital. Zespół lekarski i pomocniczy karetki może udzielić pomocy choremu w każdych warunkach. Wyposażenie jej składa się z wszystkich niezbędnych urządzeń, a przede wszystkim z aparatu do automatycznego masażu serca. Stosuje się go w przypadku ciężkiego ataku serca, a nawet zaniku jego pracy. Równocześnie z automatycznym masażem współpracuje Tele-EKG, przyrząd rejestrujący aktywność serca. Wyniki jego pomiarów przekazywane są drogą radiową do centrali znajdującej się w szpitalu.

Karetka „R" wyposażona jest również w urządzenie do pneumatycznego unieruchamiania złamanych kończyn, a więc bez użycia tradycyjnego gipsu. Lekarze karetki „R" dysponują także zestawem specjalnych noszy:

– wózkiem o zmiennej wysokości z możliwością zmiany pozycji chorego,

– noszami-krzesłem do przenoszenia chorego w trudnych warunkach, np. przez okno,

– noszami do zabierania pacjenta bez zmiany jego pozycji w chwili wypadku. Są one stosowane zwłaszcza w przypadkach uszkodzenia centralnego układu nerwowego.

W karetce reanimacyjnej istnieje ponadto możliwość transfuzji krwi, badania ciśnienia tętniczego, podania tlenu. Trudno wymienić wszystkie urządzenia, w które wyposażony jest ten mini-szpital na kółkach. Jedno wszak jest najważniejsze – zespół karetki „R" może szybko dotrzeć do chorego i natychmiast rozpocząć akcję ratunkową. A w przypadku „awarii" serca jest to niesłychanie ważne, o życiu decydują wówczas minuty. **(b)**

*Tak wygląda z zewnątrz karetka reanimacyjna produkcji „Peugeot J 7"*

*Wózek-nosze. Można nimi transportować chorego na siedząco lub na leżąco – w zależności od sytuacji*

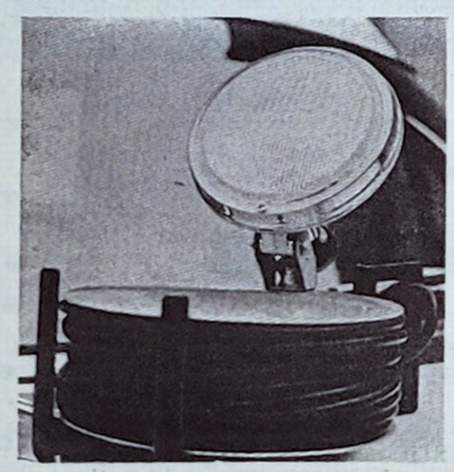

*Karetka „R" wyposażona jest w specjalną lampę halogenową do oświetlania miejsca akcji ratunkowej*

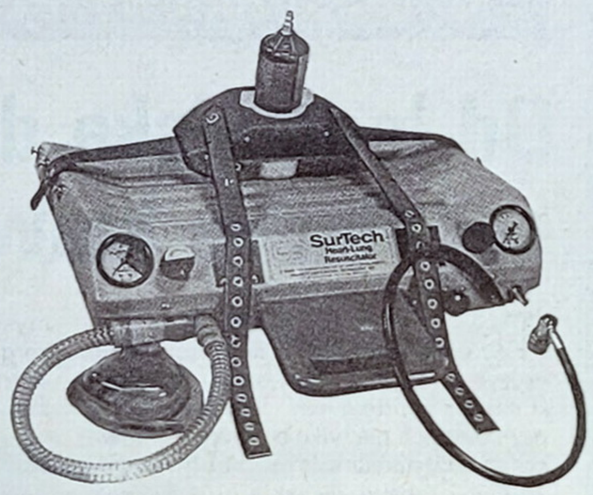


*A oto aparat do automatycznego masażu serca*

# ZŁOM DLA HUTY PIENIĄDZE – NA KARETKĘ „R"

**W dniu 15 lipca ub. r. „Świat Młodych" wydrukował na pierwszej stronie apel rodziców Marusza Śliwki, aby jego rówieśnicy, a nasi czytelnicy przyczynili się do ufundowania dla Centrum Zdrowia Dziecka jeszcze jednej, dodatkowej karetki „R".**

**W dniu 15 lutego br. na pierwszej stronie „Świata Młodych" wydrukowane było zdjęcie i informacja mówiąca o tym, że harcerki i harcerze z Gdańskiej Chorągwi ZHP im. Bohaterów Ziemi Gdańskiej podjęli zbiórkę złomu z przeznaczeniem na wytopy w Hucie „Katowice", a uzyskane tą drogą pieniądze przekazują na konto budowy Centrum Zdrowia Dziecka, na zakup karetki reanimacyjnej i że właśnie do Huty „Katowice" przyjechał pierwszy pociąg z 700 tonami złomu od gdańskich harcerzy.**

**Rozmawiamy dzisiaj z komendantem Gdańskiej Chorągwi ZHP, hm PL Jerzym Szymańskim:**

– Była to ogromna akcja; czy nie obawialiście się kłopotów chociażby z transportem?

– *Obaw była cała masa. Przede wszystkim zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że huta przyjmuje tylko złom wsadowy, czyli oczyszczony i odpowiednio uformowany, a zatem musieliśmy wejść w kooperację z Przedsiębiorstwem Przerobu Złomu. Kłopoty z transportem też były, ale przecież jak się bardzo chce, to wszystko da się załatwić. A myśmy bardzo chcieli – w tej akcji chodzi nam i o wykazanie, że młodzieży ziemi gdańskiej nie są obce wielkie sprawy naszego kraju i o ukoronowanie ciężkiej pracy harcerzy pięknym symbolem – właśnie zakup karetki „R".*

*Zaprosiliśmy do wspólnego działania oddział wojewódzki Centrali Surowców Wtórnych, spółdzielnię „Złomowiec" oraz Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni. Potem powołaliśmy sztab do udziału w którym zaprosiliśmy przedstawicieli zakładów pracy, kuratorium, prasy, a o patronat poprosiliśmy wicewojewodę gdańskiego Adama LANGERA.*

– Zabezpieczaliście się na wszystkie strony!

– *Była to konieczność, bo wśród zebranego przez zastępy i drużyny złomu były tak duże elementy, że nie mieściły się na samochód. Trzeba było je więc ciąć palnikiem, a tego przecież sami harcerze nie zrobią, potrzebna jest pomoc fachowców. Jeśli zaś chodzi o transport, to nie zawsze i wszędzie mogliśmy używać samochodów spółdzielni „Złomowiec". Korzystało się zatem z traktorów SKR, samochodów wypożyczonych z różnych zakładów pracy, a nawet z furmanek. Życzliwych i chętnych do pracy spotykali harcerze na każdym kroku.*

– A jak spisywali się sami harcerze?

– *To przecież zasługa każdej dziewczyny, każdego chłopca, że zebraliśmy tak dużo złomu! Radzili sobie doskonale. Ponieważ na ogół są lubiani, mogli dotrzeć wszędzie, gdzie tylko wypatrzyli coś, „złomopodobnego" – wchodzili nawet na tereny zakładów pracy. Widoczne było ich żywe zaangażowanie i oddanie sprawie, a oto nam przecież chodziło. Wyróżniające się zespoły – to: Gminny Związek Drużyn w Subkowym, hufiec Gdańsk-Portowa, hufiec Gdańsk-Wrzeszcz, hufiec Gdańsk-Oliwa.*

– Czy można już orientacyjnie podać, jaką sumę zarobionych pieniędzy przekażecie na fundusz zakupu karetki „R"?

– *Ok. 500 tys. zł. Pozostałą część środków chcemy przekazać na ufundowanie książeczek mieszkaniowych dla dzieci z domów dziecka.*

Rozmawiała **GRAŻYNA KIEDYK**

# DZIWNA WYSPA

*Światowa wystawa Expo '75 miała ożywić gospodarkę i nastroje Japonii* Fot. **autorki**

**Helena Adamczewska pisze z Okinawy:**

Wszystko tu jak do fotografii: niebo błękitne, ocean – stosownie do swojej nazwy – idealnie spokojny, kolorowe reklamy, przetykane pióropuszami palm. Taka jest Okinawa latem – płowa, rozpalona słońcem i naga. Nawet daleko na północ od Naha, na plantacjach ananasów, trzciny cukrowej i ryżu, które były niegdyś głównym źródłem dochodu mieszkańców wyspy, krajobraz złocistobrunatny. Kiedy kilkadziesiąt kilometrów od Naha autokar zatrzymuje się na 10 minut, aby pasażerowie mogli obejrzeć najbardziej urodziwy zakątek nad Pacyfikiem, aż trudno uwierzyć, jak kiczowata potrafi być natura: brunatny piasek brzegu, niesymetrycznie sterczące palmy, modry ocean i w dali różowiejące skały archipelagu. Przesłodzony technikolor. Barwy jak z jarmarcznego landszaftu, choć człowiek nie przyłożył do tego ręki. Zieleń nie ma tu soczystości tropikalnego gąszczu. Zbocza gór nie przerażają urwiskiem. Upał, chyba ze względu na wszechobecność morza, nie jest dokuczliwy, więc ludzie nie wyglądają na zmęczonych, jak w Tokio lub Osaka. Ale też nie kontemplują przyrody, tak jak tam, na północy, na Kiusiu, Honsiu i Sikkoku. Są uprzejmi i nader rzeczowi. Nie kłaniają się po wielekroć. Kobiety nie drobią kroczków, dzieci się nie wdzięczą do turystów. Wojna, która tu toczyła się wprawdzie krótko, ale z niezwykłą zaciętością i potem prawie 30 lat amerykańskiej okupacji zrobiły swoje.

W Naha, stolicy Okinawy, życie toczy się wcale nie powolniejszym rytmem niż na centralnych wyspach japońskich. Na każdej ulicy salony automatycznych gier i bary o angielskich nazwach. Parkingi pełne „krążowników szos" wcale nie japońskiej produkcji. I wszystko jakby pod nadzorem amerykańskich wojsk.

Tuż przy głównej magistrali ciągnącej się od lotniska na północ, przez całą Okinawę, zabudowania Kadeny. Farmerska niegdyś wioska w pobliżu Naha rozrosła się w największą amerykańską bazę wojskową na Pacyfiku. Na dziesiątkach tysięcy hektarów przybrzeżnych wód aż gęsto od okrętów wojennych, płaskodennych barek desantowych i wszystkiego co wymyślono dla wojny na morzu. Dalej, to co decyduje czyje jest niebo: na wielokilometrowych, betonowych pasach lotniska szeregami ustawione samoloty wojskowe i pasażerskie ze znakami amerykańskich linii lotniczych. Dalej, na parkingach tysiące ciężarówek, jeepów i ciągników – jak na gigantycznej wystawie pod gołym niebem. Wszystko oddzielone od drogi wysokim ogrodzeniem z metalowej siatki, na której rozwieszone w równych odstępach duże, czytelne z daleka tablice: „Baza lotnicza US – wstęp wzbroniony". Wokół białych bungalowów, zamieszkałych pewnie przez wyższych oficerów z dowództwa bazy, starannie wypielęgnowane i wystrzyżone trawniki. Za luksusowymi willami wzdłuż wybrzeża oceanu widać monotonne „mrówkowce" – prostokątne wielopiętrowe bloki mieszkalne, do których wiedzie szeroka jak autostrada ulica, opatrzona niczym balustradą ogromnym napisem „KADENA".

Ten, kto nie wie, że była tu kiedyś zwykła i uboga wieś, nie domyśli się tego patrząc na militarne urządzenia bazy i wystawione na pokaz targowisko wojennego sprzętu.

Ale dziwny jest nie tylko krajobraz Okinawy. Dziwna jest również jej atmosfera. Niby japońska, ale bez japońskiej uprzejmości i łagodności. Niby amerykańska, ale bez amerykańskiej hałaśliwości i poklepywania po ramieniu.

W wielkiej witrynie sklepowej przy jednej z głównych ulic miga nagle portret Che Guevary. Na wzgórzu Mabuni szkolne wycieczki odwiedzają pomniki japońskich ofiar wojny, ale taksówkarz, szerokolicy Okinawczyk, po paru zdawkowych pytaniach skąd przyjechałam i dokąd się wybieram dalej, powiada bez żadnych wstępów: „Okinawa – plajta".

Trudno zapomnieć, że Amerykanie zainwestowali w budowę baz, które dziś można oglądać na wyspie – ponad 600 milionów dolarów. Prawie trzy dziesiątki lat stacjonowało tu około 55 tysięcy żołnierzy. Dolary płynęły szerokim strumieniem i pozwalały zapomnieć, co się tu działo przez trzy wiosenne miesiące 1945 r. Ale potem, gdy wyspa została zwrócona japońskiej administracji i przykręcono dolarowe krany, okazało się, że jałowy był to strumień. Teraz nawet japońskie koncerny nie kwapią się z inwestycjami. Więcej zysków przynosi japoński jen z indonezyjskich, filipińskich, taiwańskich albo hongkongskich fabryk, gdzie siła robocza tańsza i surowce na miejscu. Na Okinawie przywiędły patriotyczne nastroje. Zorganizowano więc Expo'75 – wielką międzynarodową wystawę oceaniczną, która miała

Dokończenie na str. 6

*Barwny i egzotyczny krajobraz Mabuni przyciąga turystów ze wszystkich stron świata*

# „LATAJĄCY HOLENDER wszędzie trafi, on załogę dzielną ma..."

BIBLIOTEKA EX BRACTWA ŻELAZNEJ SZEKLI
TELEWIZJA POLSKA DOM KSIĄŻKI GDAŃSK

Tytuł ten zapożyczyłam z refrenu piosenki o programie telewizyjnym „Latający Holender". Audycji, którą oglądamy na srebrnym ekranie, dano nazwę legendarnego żaglowca, snującego się po bezkresach oceanów. Założeniem tego programu, od samego początku, było rozszerzenie wiadomości o polskiej gospodarce morskiej, zbliżenie morza do najodleglejszych zakątków Polski i wciągnięcie do wielkiej morskiej przygody młodych widzów. Właśnie w styczniu „stuknęło" programowi dziesięć lat. Jego twórca, redaktor Bohdan Sienkiewicz, z gdańskiej telewizji, zaprosił z tej okazji zaprzyjaźnionych dziennikarzy; przede wszystkim i przed wszystkimi zjawił się „Świat Młodych". My również mamy swój skromny udział w tym jubileuszu – przed dziesięciu laty na łamach naszej gazety co miesiąc ukazywały się zadania nawigacyjne, które rozwiązywali nasi czytelnicy – członkowie załogi „Latającego Holendra". Każdy, kto posiada wyobraźnię, kto potrafił i potrafi bawić się w podróż statkiem na niby, wykreślać kursy rejsów, wykonywać polecenia prowadzących audycję, mógł zostać członkiem załogi. Liczba „marynarzy" „Latającego Holendra" jest nieograniczona. Trzej z nich, którzy uczestniczą w jubileuszowej konferencji prasowej to owcześni Romek, Jędrek i Stefek – dziś panowie Roman Aniszewski, Andrzej Makowski i Stefan Semka. Pierwszy z nich posiada numer ewidencyjny załogi: „jeden". Pracuje jako zootechnik. Pan Andrzej zaś najwyżej zaszedł w morskiej karierze – ukończył Wyższą Szkołę Marynarki Wojennej i jest dowódcą okrętu...

– Skąd o tym wiadomo? – redaktor Sienkiewicz otwiera pękatą szafę, w której elegancko poukładane, ponumerowane karty uczestnictwa – jest ich bez mała 50.000 sztuk – świadczą dobitnie o skrupulatności, ułatwiają nawiązanie kontaktów z załogantami, tak byłymi, jak i obecnymi. – Do setki uczestników obozów – każdego roku organizujemy obozy dla załogi „Latającego Holendra" – wysłaliśmy specjalne ankiety. Chcieliśmy sprawdzić, jakie są ich losy... Z odpowiedzi wynika, że różne. Są lekarzami, jeden pracuje jako mechanik w Nowej Hucie, Małgosia Wójcik z białostockiej wsi ukończyła oceanografię.

Dziesiątki tysięcy młodzieży przewinęły się w okresie tego dziesięciolecia przez pokład „Latającego Holendra", który pod dowództwem kapitana ż.w. Wojciecha Zaczka pokonywał na szklanym ekranie morza i oceany, każdego roku.

– Pierwszy „Latający Holender" – wspomina pan Bohdan – to był stary żaglowiec, „płynący" dookoła świata. W poszczególnych programach znalazły się w związku z tym ballady morskie, opowieści o piratach, dalekich lądach... W następnym roku „płynęliśmy" szlakiem Leonida Teligi na nowoczesnym jak na owe czasy trampie. Kiedy przechodziliśmy równik, odbył się oczywiście w studio, przed kamerami, chrzest morski. Z tym miałem największy kłopot. Wiadomo, co różne diabły morskie wyprawiają na statkach z takim nie chrzczonym delikwentem. Tu, przed kamerami, również musieliśmy pokazać wszystko jak należy. Ponieważ bałem się, żeby któremuś z załogantów krzywdy nie zrobiono, poświęciłem własnego syna Januszka. Zlali go wodą, smołą, wytarzali w pierzu, sznurami zbili. Może zaliczą mu taki chrzest, kiedy będzie przechodził równik na prawdziwym statku... Bo Janusz jest już studentem Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni.

Po trampie był mały liniowiec. Cały wystrój ówczesny studia był jak na prawdziwym statku. Jak tylko wchodził kapitan Zaczek, salutował i mówił: „Czołem załoga". Ruszał telegrafem. Rozwiązywaliśmy wówczas zadania nawigacyjne.

Potem stworzyliśmy „Klub poławiaczy ciekawostek morskich". I tak powstała morska mapa Polski. Otrzymywaliśmy od załogi meldunki o wszystkich zakładach pracy, o ulicach, domach – mających coś wspólnego z morzem. Pewnego dnia nadeszła niezwykła przesyłka ze Szwecji. Aż tam zawędrowała butelka z meldunkiem, wrzucona do Wisły w górnym jej biegu. Kiedyś kapitan Zaczek polecił zorganizować dla środowiska uroczyste „Dni Morza". Z jednego z domów dziecka pod Wrocławiem otrzymaliśmy meldunek i zdjęcie dzieci ubranych w marynarskie mundurki. Dopiero po dokładnym obejrzeniu zdjęcia zorientowaliśmy się, że są to dzieci kalekie. Wszyscy zostali przyjęci w skład załogi „Latającego Holendra". Niestety, nie mogliśmy ich zabrać na obóz. Bo w każde wakacje najlepsi, najwytrwalsi „załoganci" „Latającego Holendra" spotykali się na żeglarskich obozach w nagrodę za rozwiązywanie zadań i wykonywanie poleceń.

*Generalna próba przed jubileuszową audycją „Latającego Holendra". Od prawej siedzą (bokiem) panowie: Roman Aniszewski, Bohdan Sienkiewicz, Andrzej Makowski i Stefan Semka*

Fot. **W. Szwajnoch**

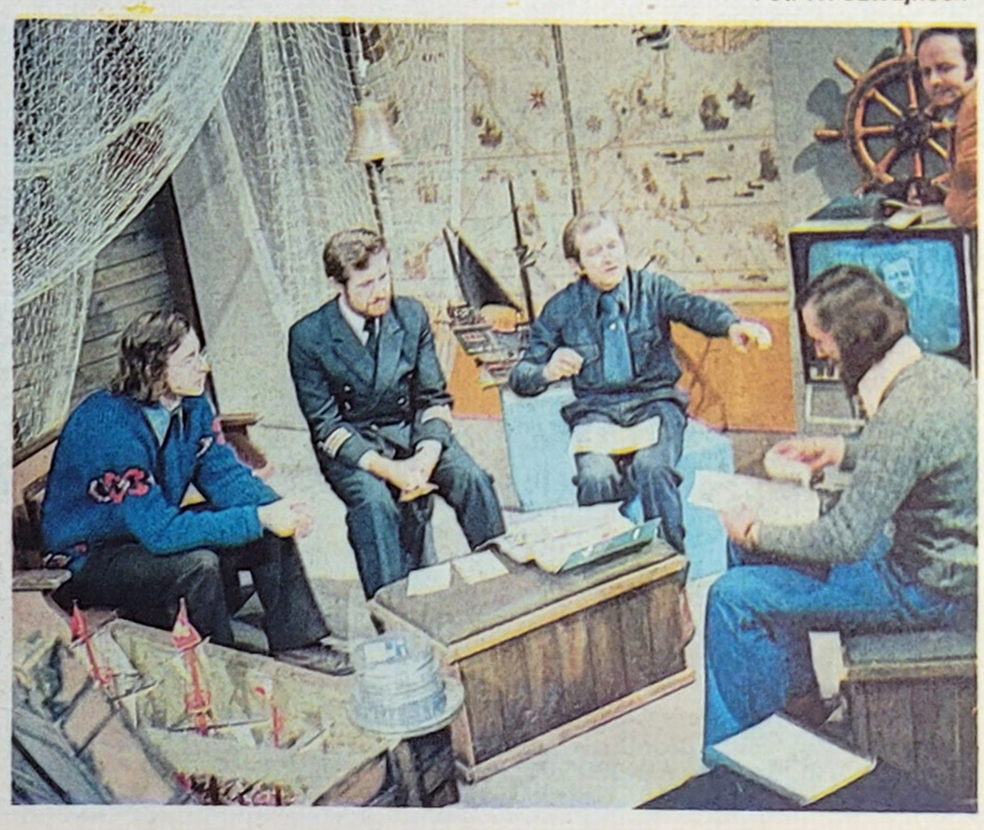

Oczywiście nasz program miał licznych przyjaciół. Zawarliśmy pewnego dnia porozumienie między Marynarką Wojenną, Wyższą Szkołą Morską, Domem Książki, Wydawnictwem Morskim, „Tygodnikiem Morskim", redakcją „Morza" i Telewizją. Powstał wówczas sztab nazywany skrótowo SJ-2000, co oznaczało – Szkoła Jungów roku dwutysięcznego. Mieliśmy własne mapy, w okresie wakacji mogliśmy korzystać z okrętów marynarki wojennej i Wyższej Szkoły Morskiej, organizować na tych jednostkach spotkania. „Tygodnik Morski" prowadził na swoich łamach „Olimpiadę Nawigacyjną", której zadaniem było uczenie podstaw nawigacji, a Wydawnictwo Morskie wydało serię miniatur.

A jeszcze później powstało „Bractwo Żelaznej Szekli", działające do dziś. Skupia ono w swoich szeregach entuzjastów morza, którzy zajmują się sprawami morskimi na co dzień, jak i tych, którzy morze oglądają na zdjęciach i filmach.

„Nie mam nic. Nie mam żadnego patentu. Idę, idę ulicą, wejdę na okręt i popłynę"... Czy można zrealizować takie marzenie? Można. My to robimy w „Latającym Holendrze". Nasi uczestnicy praktycznie muszą jedynie posiadać kartę pływacką.

Nierzadko przyjeżdżają na rejsy (od pewnego czasu mamy wyczarterowany jacht w Trzebieży) kompletne „zielepaki morskie".

Dziesięć lat, ponad 100 audycji telewizyjnych, liczne zadania w centralnej prasie, uczyniły z „Latającego Holendra" doskonałą formę zabawy w „morze" tak dla młodzieży jak i dla dorosłych. Tego należy autorom audycji pogratulować!

W konferencji z ramienia „Świata Młodych" brała udział

**WIESŁAWA MROCZEK**
**uczestnik „Szkoły Jungów-2000"**
**numer 2349**

***Mam kilka pytań. 1) Czy wyraz kakao odmienia się przez przypadki, a jeśli tak, to jak brzmi miejscownik liczby pojedynczej? 2) Jak brzmi wołacz rzeczownika nauczyciel w liczbie pojedynczej? 3) Czy stawia się kropki w datach, np. 18.02.1977 czy 18 02 1977? 4) Czy stawia się kropkę po skrócie wyrazu rok? 5) Po literkach np (na przykład) pisze się kropkę czy nie? 6) Proszę Cię jeszcze o wyjaśnienie pochodzenia i znaczeń imion Bogumiła i Marzena.***

***Bogusia***

1) **Kakao** w ogóle się nie odmienia. We wszystkich więc przypadkach obu liczb jest tylko **kakao** (ale nie kakało). 2) **Nauczycielu!** 3) Jeśli miesiąc oznaczamy cyfrą rzymską, to kropek w dacie nie stawiamy (18 II 1977), jeśli cyframi arabskimi, to kropki są konieczne, aby nie było pomyłki w odczytaniu (18.02.1977). 4) Tak. 5) Stawia się (np.). 6) **Bogumiła** – słowiańskie imię oznaczające tę, która jest miła Bogu. **Marzena** – to jedna z licznych w jęz. czeskim odmian imienia Maria.

***Wczoraj ukłułem się pineską i zastanowiłem się: 1) Ukłułem się czy ukułem? 2) W słowniku było napisane pinezka, ale dlaczego nie pineska, przecież na pudełku do pinezek było napisane PINESKI? 3) Jeszcze jedna wątpliwość: czy to było pudełko DO czy OD pinezek? 4) W słowniku tego nie ma – pineha czy pinecha? 5) Pięceta czy pinceta?***

***Cejro z Krochmalnej***

1) Czymś ostrym można się **ukłuć**, więc się ukłułeś. Gdybyś wymyślił jakiś nowy wyraz lub powiedzenie, to mógłbyś powiedzieć, że je **ukułeś**. 2) Na pudełku było źle napisane. **Pinezka** jest wyrazem pochodzenia francuskiego – punaise (czyt. **pinez**) znaczy pluskwa i dlatego pinezki to inaczej pluskiewki. Litera **z** w pinezce ma swoje źródło w wymowie tej francuskiej pluskwy – na końcu wyraźnie słychać głoskę **z**. 3) Jeżeli pudełko czymś chcesz napełnić, to jest to pudełko **na** coś albo **do** czegoś. Pudełko opróżnione jest pudełkiem **po** czymś lub **od** czegoś. 4) Pinecha, czyli duża pinezka, podobnie jak kreska – krecha, gruszka – grucha. Te zgrubiałe formy zawsze piszemy przez **ch**. 5) **Pęseta** albo **pinceta,** popieram tę pierwszą, spolszczoną wersję.

***Od dawna męczy mnie problem związany z wyrazem lekcja. Pisze się „tych lekcji" czy „tych lekcyj"? Słownik ortograficzny podaje te dwie możliwości, ja stoję po stronie „tych lekcyj", a nauczycielka od języka polskiego sądzi, że pisze się tylko „tych lekcji". Jak z tym jest? Przy okazji chciałam Cię zapytać, dlaczego podpisujesz się Kropka, a nie Kropeczka?***

***Hanka Sz. z Lipowa***

W zasadzie pisze się **tych lekcji**, gdyż dopełniacz liczby pojedynczej jest taki sam, jak liczby mnogiej. Jeśli jednak chcemy zaznaczyć, że chodzi o l. mnogą, to możemy użyć zakończenia **-yj**. (Nie mam dziś **lekcji,** nie mam dziś **lekcyj**). 2) Bo Kropka bardziej się kojarzy z interpunkcją.

**Wasza mgr KROPKA**

**Dokończenie ze str. 5**

# DZIWNA WYSPA

ożywić gospodarkę i atmosferę. Do pracy nad przygotowaniem wystawy zjechali Japończycy z centralnych wysp. Ale turyści zawiedli – przyjechało ich znacznie mniej niż się spodziewano. Coraz trudniej było o pracę Okinawczykom i coraz szybciej rosła drożyzna. Aż przyszedł kryzys naftowy i wokół szumnych planów podniesienia poziomu gospodarczego Okinawy zaległa cisza.

W czasie Expo'75 z Naha na półwysep Motobu jeździły specjalne klimatyzowane autokary, które nie zatrzymywały się po drodze i nie zabierały miejscowych pasażerów. Tak było tylko „od święta". Zwykły okinawski autobus nie tylko nie jest klimatyzowany, ale jedzie wolniej i zatrzymuje się na przystankach w każdej wsi i po kilka razy w każdym miasteczku. Dopiero w tym zwyczajnym autobusie, omijającym wielopasmową, płatną autostradę, przeciskającym się przez zatłoczone uliczki i wąskie mosty na skraju wybrzeża widać, jak daleko jeszcze Okinawie do standardu wysp centralnych. Domki tu prościutkie, żeby nie powiedzieć – prymitywne, z szarego kamienia. Ludzie ubrani skromnie. Żadnych salonów orientalnej sztuki lub automatycznych gier. Żadnych starannie wystrzyżonych i cały dzień spryskiwanych mechanicznym kołowrotkiem zielonych gazonów. Tylko ananasy dorodne, soczyste, jakich nie uświadczy się w Tokio, ani w Osaka.

Do 1982 r. rządowa pomoc dla Okinawy miała wynieść pięć miliardów dolarów. Zbudowana miała być wielka baza przechowywania ropy naftowej i rafineria. Miało powstać wiele nowych zakładów przemysłowych. Czy powstaną?

Muszę przyznać, że trzęsąc się przez kilkadziesiąt kilometrów po tej kiszkowatej wyspie w dusznym autobusie, wlokąc powoli przez mizerne osady, albo brzegiem oceanu, wcale jakoś nie potrafiłam wykrzesać w sobie współczucia dla tej „okinawskiej plajty". Mimo niewygody, duchoty i ogromnej straty czasu wolę jednak szare kamienne domki, zgrabne rybackie łodzie, suszące się na słońcu sieci i kolczaste plantacje ananasów, od tłoku w porcie wojennym i wymuskanego porządku Kadeny z hangarami nie mieszczącymi już brzuchatych bombowców.

Nie przyniosły Okinawie dobrobytu amerykańskie dolary, więc może byłoby lepiej, aby i japońskie jeny nie próbowały z niej robić asfaltowej dżungli, jaka ciągnie się od Osaka aż po Tokio. Aby jeszcze choć na jakiś czas zachowała ona swój kolor nieba, ziemi i wody – przynajmniej w północnej części, tam, gdzie kończy się Kadena i zaczynają zjeżone kolczastym liściem plantacje ananasów.

# FIAT 126 – BASE, PERSONAL I PERSONAL 4

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Z pewnością wszyscy znają doskonale naszego samochodowego „malucha". Dla tych, którzy zapomnieli jego podstawowych danych, pozwolę je sobie przypomnieć: czterosuwowy, dwucylindrowy, rzędowy silnik, umieszczony z tyłu, chłodzony powietrzem, o pojemności roboczej 594 cm sześc. i mocy 23 KM.

Na odbywającym się w końcu ubiegłego roku salonie samochodowym w Turynie, macierzysta fabryka naszego „malucha", a więc włoski koncern FIATA, przedstawił nowe modele FIATA-126 oznaczone dodatkowymi markami: BASE, PERSONAL i PERSONAL 4.

We wszystkich tych nowych modelach FIATA-126 wprowadzono szereg udoskonaleń w silniku, podwoziu, instalacji elektrycznej jak również w samym nadwoziu. W celu zapewnienia czystości wydzielanych na zewnątrz spalin i wyeliminowania wpływu nieprawidłowej regulacji, zmieniono system regulacji gaźnika. W podwoziu zastosowano bębny hamulcowe o większej średnicy oraz w tylnym zawieszeniu amortyzatory o innej charakterystyce tłumienia drgań. Zamieniono dotychczasową prądnicę prądu stałego na alternator (prądnicę prądu przemiennego) o większej mocy. Dzięki niej istnieje możliwość stosowania jednocześnie większej ilości urządzeń zasilanych prądem, jak również lepszych świateł np. halogenowych.

W modelu podstawowym zwanym BASE dokonano poza tym szeregu zmian w zewnętrznej kosmetyce nadwozia jak i wnętrza samochodu. Model ten wyposaża się fabrycznie w lusterko zewnętrzne po stronie kierowcy, w koło kierownicze o innym kształcie oraz fotele przednie o większym zasięgu regulacji.

Modele PERSONAL i PERSONAL 4 różnią się zewnętrznie dość znacznie od modelu podstawowego BASE. Posiadają większe obydwa zderzaki, które są czarne i wykonane z elastycznego tworzywa sztucznego. Po obu bokach nadwozia mocowane są dość grube i szerokie gumowe zderzaki boczne, nadające sylwetce samochodu oryginalny wygląd.

Model PERSONAL stanowi dwuosobową wersję FIATA-126. Wprowadzenie go do produkcji nastąpiło w konsekwencji faktu, iż znakomita większość tego typu samochodów, użytkowana jest przez Włochów w obszarach miejskich, i na ogół przez jedną lub dwie osoby. W tym modelu siedzenie tylne zastąpione zostało prostym oparciem i prostą wyjmowaną ławeczką. Miejsce to ze względu na bardzo mały bagażnik samochodu nadaje się doskonale do przewożenia dość dużej ilości bagażu.

PERSONAL 4 – jak sama nazwa wskazuje przeznaczony jest do przewozu 4-ech osób, ma on z kolei wygodniejsze siedzenie tylne.

**ZENON DUTKIEWICZ**

# DRAPIEŻNIK TEŻ CZASEM ZMYKA...

Tegoroczna zima nie sprawiła zawodu miłośnikom ptaków drapieżnych. Mieliśmy w miastach i osiedlach sporo zimujących krogulców, a na polach – myszołowów włochatych. Dla wszystkich uważnych była to okazja, by przyjrzeć się ich polowaniom. I nie tylko...

*„Idąc ulicą zobaczyłem latające w górze dwa ptaki* – napisał Paweł Markowski z Bełchatowa. – *Jeden z nich był gawronem, natomiast drugi okazał się krogulcem. Wyraźnie było widać, że gawron goni krogulca. Po chwili gawron zaprzestał pogoni i poleciał do swych towarzyszy siedzących na dachu bloku."*

O podobnych zdarzeniach donosi Krzysiek Ochendowski z Elbląga: *„Gawrony najwyraźniej nie lubią wokół siebie obecności ptaków drapieżnych. Parokrotnie obserwowałem, jak spokojnie lecący myszołów był goniony przez gromadkę gawronów. Podobnie było z myszołowem włochatym. Widziałem też przez lornetkę kilka gawronów lecących za krogulcem, który wyraźnie nie był z tego zadowolony i starał się umknąć napastnikom..."*

Z pewnością oba te opisy są prawdziwe. Tego rodzaju przejawy „nienawiści" do skrzydlatych drapieżników widuje się u ptaków – nie tylko zresztą u gawronów – bardzo często. I ja widziałem tej zimy pościg gawronów za krogulcem, zaś rok temu miałem możność obserować wronę zuchwale atakującą swego śmiertelnego wroga – jastrzębia. Na nic się zdały zawiłe powietrzne łamańce, przy pomocy których nieszczęsny drapieżnik chciał się pozbyć natręta. Musiał ustąpić pola.

Czyżby więc ptaki drapieżne, grożące ostrymi dziobami i szponami, były podszyte tchórzem? W pewnym sensie – tak. Ucieczka jest u nich czymś równie częstym, jak śmiały atak. U niektórych gatunków, zwłaszcza u jastrzębia i krogulca, ta chęć uniknięcia zbędnych potyczek wiąże się właśnie ze specyfiką ataku. Napadają one swą zdobycz znienacka, z ukrycia. Stąd zakodowana w ich psychice skłonność do ciągłego ukrywania się. A nic tak nie demaskuje drapieżnika, jak gromada natrętnych, hałaśliwych gawronów, wron czy kawek.

Napastnikami wobec skrzydlatych drapieżników bywają nawet drobne ptaki śpiewające. Widziałem kiedyś gromadę jaskółek, z furią atakujących kobuza. A przecież właśnie jaskółki stanowią częstą zdobycz tego sokolika. Kobuz jednak nie odpowiedział atakiem na atak, zadowalał się chwytaniem latających owadów.

Bardzo ciekawą relację nadesłał Czarek Wągrodzki z Warszawy, mowa tu bowiem zarówno o śmiałym ataku krogulca, jak i o skuteczności solidarnej obrony. *„Dnia 29 I, zauważyłem krogulca, który leciał trzymając w dziobie wróbla. W tydzień później spostrzegłem go ścigającego grupę gołębi. Następnie 11 II, widziałem, jak siedział na bloku, obserwując okolicę. Nagle zerwał się, zrobił spore koło i zaatakował ostatnią z lecących do sypialni kawek. Z kawki posypały się pióra i właśnie w tej chwili pozostałe kawki utworzyły spory krąg i zaatakowały krogulca, zmuszając go do odwrotu."* W niektórych miejscach cała ta historia brzmi – co tu ukrywać – trochę nieprawdopodobnie. Zachęcam więc autora do napisania jeszcze jednego listu z bliższymi wyjaśnieniami, a także podanie numeru telefonu – wtedy porozmawiamy. Co zaś się tyczy domniemanego gniazda krogulca – jest to chyba gniazdo któregoś z ptaków krukowatych, bowiem krogulce gnieżdżą się pod Warszawą bardzo rzadko.

**TOMASZ KŁOSOWSKI**

Fot. **archiwum**

**Nowi członkowie klubu: Robert Makuch,** Daleka 20 m2, 05-800 Pruszków, **Andrzej Rumiński,** Tońskiego 32, 18-400 Łomża, **Bogumiła Rybak,** wieś Zając, 07-107 Wyszków, woj. siedleckie, **Zbyszek Sobczyński,** Modliszewice 50, 26-200 Końskie, **Mirek Szymański,** Komandosów 28, 85–549 Bydgoszcz, **Jarek Wróblewski,** Chrobrego 4, 05-810 Ursus, **Rysiek Zając,** Kościuszkowców 12/40, 32-511 Jaworzno 3.

REPORTER Świata Młodych

Po pierwszym występie „Patosu" sala długo rozbrzmiewała oklaskami. To była bomba! Żeński zespół muzyczny z Liceum Ogólnokształcącego nr 30 stał się znany w całym Nasielsku. „Patos" występował na wielu imprezach, brał udział w konkursach – zawsze zdobywał sympatię publiczności oraz nagrody i wyróżnienia.

# POMÓŻCIE DZIEWCZYNOM!

Tak było rok temu. Dziś zespołu nie ma. To znaczy dziewczęta w dalszym ciągu chcą grać i śpiewać, ale już nie występują.

We wrześniu ubiegłego roku odszedł ze szkoły nauczyciel wychowania muzycznego, który opiekował się zespołem. Nowy nauczyciel jakoś nie ma ochoty na pracę z zespołem. To przecież zajmuje dużo czasu. Dziewczęta na pewno dałyby sobie radę same, mają już spore doświadczenie, ale stary i niekompletny sprzęt odmawia posłuszeństwa. Potrzebne są nowe wzmacniacze, bo bez mikrofonów występ w dużej sali jest niemożliwy. Wzmacniacze mają jednak jedną wadę – kosztują trochę pieniędzy.

Myślały, że szkoła jest zainteresowana dalszym rozwojem zespołu i pomoże finansowo. Były nawet u dyrektora na kilku rozmowach. Zawsze jednak otrzymywały wymijające odpowiedzi, obietnice, które nigdy nie zostały spełnione.

Mariola, Ewa, Hanka, Gośka, Iza i Danka są optymistkami. Wierzą, że koś się nimi zaopiekuje, pomoże w skompletowaniu sprzętu. Może szkoła? Wystarczy tylko odrobina dobrej woli. Nie chcą już spocząć na laurach i tylko wspominać jak kiedyś było fajnie. Może ich marzenia niedługo się spełnią? Pomóżcie dziewczynom w Nasielsku!

**ANDRZEJ KRZYŻ, Nasielsk**
**korespondencja pierwsza**

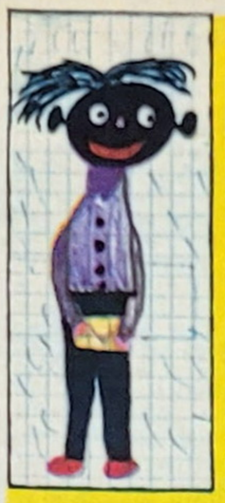

# RZEP KLUB

Redaguje
**WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI**

Cześć!

Autorkami moich podobizn, które widzicie powyżej są: Kasia Luberadzka i Iwona Pierszała.
**Ogłaszam nieustający konkurs na mój cotygodniowy portret.**
Rysujcie i przysyłajcie!
Nagrodą za najlepszy portret tygodnia będzie wydrukowanie go w moim odcinku wraz z nazwiskiem autora.
Rysunki nie powinny być zbyt duże. Najlepiej w formacie karty pocztowej.

* * *

Z listów, które otrzymuje ostatnio Amorek wynika jasno, że wiosnę mamy już za pasem! Zbliża się trudny okres dla naszego kolegi redakcyjnego. Przewiduję, że Amorek będzie musiał dwoić się i troić, zupełnie jak na rysunkach obok.

Do zobaczenia!
**Wasz Rzep**

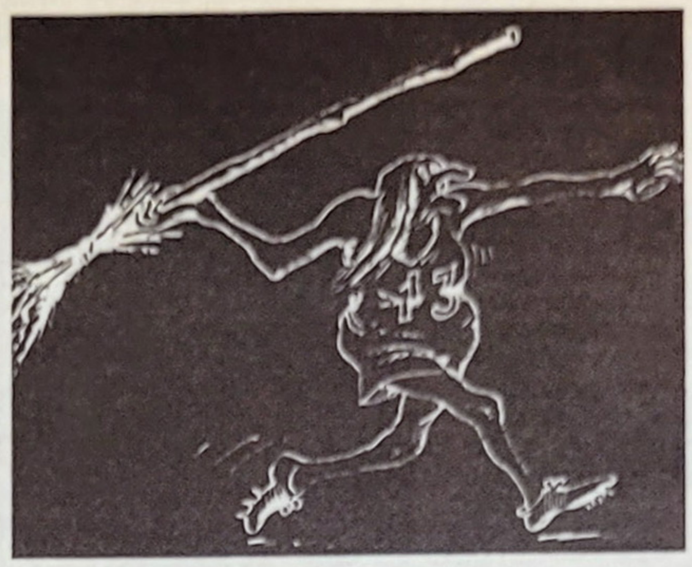

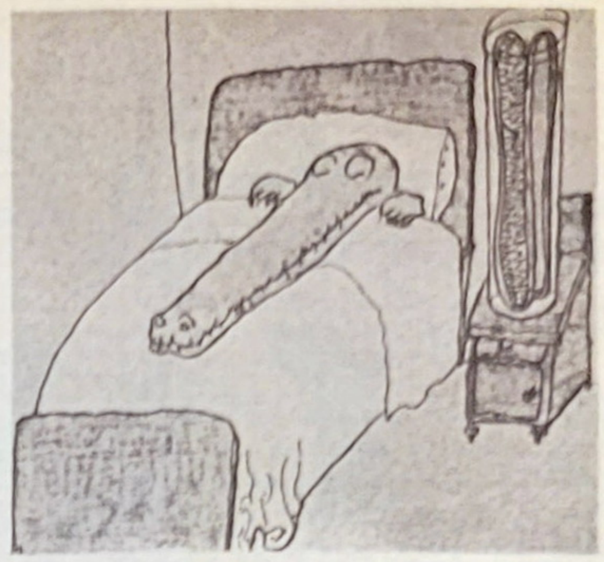

**RZEPKLUB**

**Dziś przyjmuję do klubu Pawła Bernackiego, Jana Groyeckiego i Augustyna Wiktora.**

**Oto nowe wyposażenie współczesnego Amorka. Ochronny kask otrzymał Amorek od naszego redakcyjnego referenta BHP!**

– On chce się ustrzec strzały Amora!...

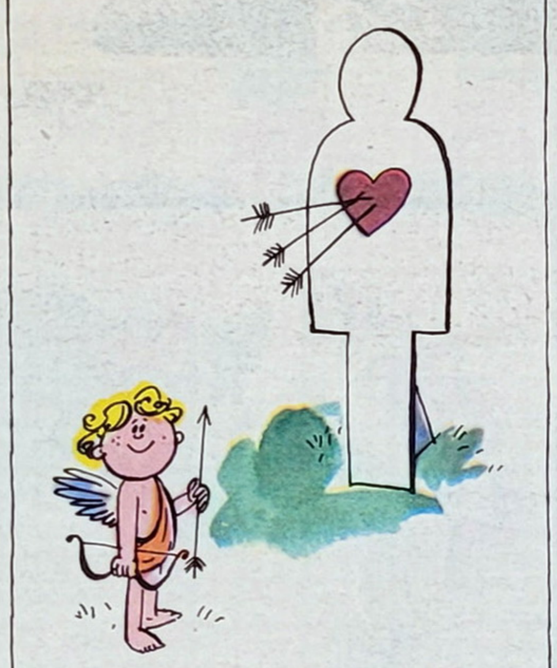

**Trening przed sezonem**

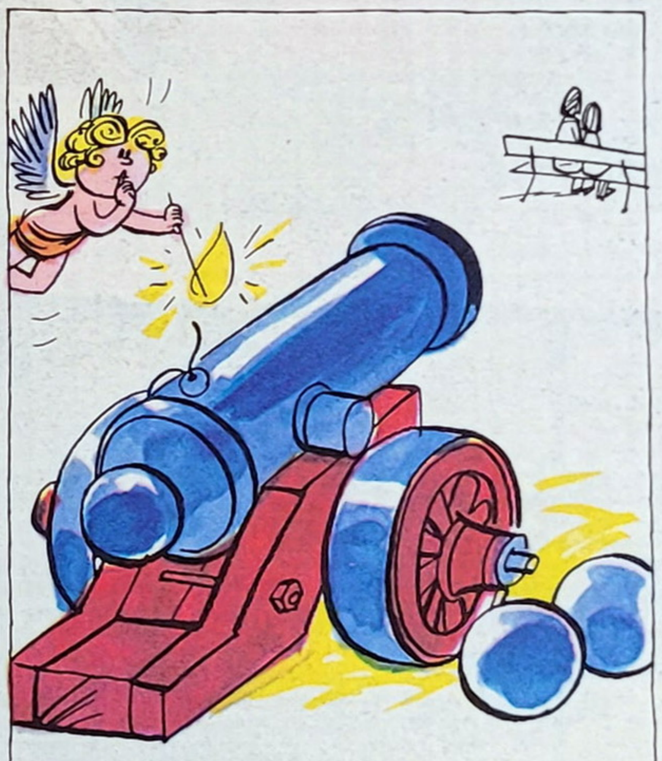

– Pst, to będzie wielka miłość!...

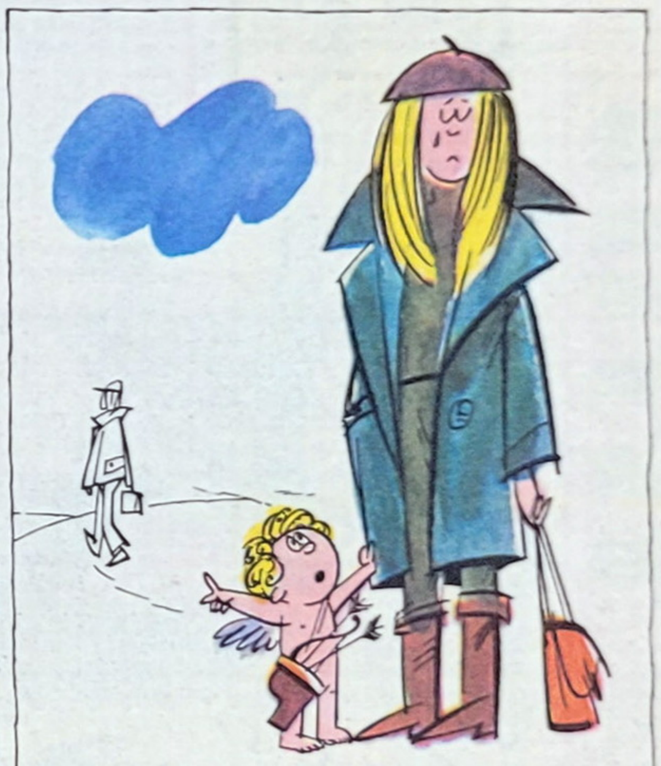

– To ten?...

No i kto jeszcze nie wyrażał szczególnych zachwytów, to matki. To ta, to owa, przychodziła, wyrzekała, co to za jakaś kara, po co wymyślili ten jakiś desant, nigdy w życiu o czymś takim nie słyszały, mało tego, że mężowie na wojnie, teraz także synowie są jak żołnierze, żadnej z nich pomocy w gospodarstwie, nie ma z kim porozmawiać szczerze, tylko przepadają w tej stajni od samego rana do nocy... I mówiły wiele innych rzeczy, nawet słusznych, jeśli się nad tym zastanowić.

Sułtanmurat najwięcej obrywał, bo przecież był dowódcą. Musiał odpowiadać za wszystkich. A najtrudniej odpowiadać przed matkami. Jego własna matka już całkiem machnęła ręką, zmordowana. „Niech tylko ojciec żywy wróci z wojny – mówiła – to sam rozsądzi. A ja mam wszystkiego dosyć. Zrozumiesz, synku, kiedy już nogi wyciągnę, ale będzie za późno..." Sułtanmuratowi żal było matki, bardzo żal, co jednak mógł zrobić, zresztą co też zrobiłby ktoś inny na jego miejscu. Każdy chłopak miał po cztery konie i wiele różnej roboty. Nakarmić, napoić, oczyścić, przygotować obrok, znowu karmić, poić, czyścić, wynosić nawóz i tak w kółko... A przemywać i leczyć stare liszaje, rany od natarcia na grzbietach i karkach koni – to dopiero praca! Rejonowy felczer-weterynarz zostawił tylko różne płyny dezynfekujące i maście, a stosować je muszą sami. Opatrywać codziennie, bez tego się nie wyleczy. Odpaść konia, owszem, to można, ale nie można włożyć chomąta na niewyleczoną ranę. To zrozumiałe. A nie było ani jednego konia zdrowego, wszystkie miały bolączki na grzbietach, pokaleczone nogi, koń nie rozumie, że się mu chce pomóc, niech kto spróbuje go przytrzymać.

Kiedy konie nabrały ciała, wystały się, potrzebna im była jakaś zmiana, codziennie należało każdego konia poganiać kłusem przez półtorej godziny, bo gdyby się tego nie zrobiło, to – jak mówił brygadzista Czekisz – „przy pługu koń wypoci całą wodę i zostanie tylko puste miejsce". A tymczasem właśnie stało się coś bardzo przykrego.

Pewnego dnia chłopcy całą piątką wyruszyli trochę przepędzić konie. Jechali na swoich najlepszych „bojowych". Sułtanmurat wziął Czabdara, Anataj – Oktora, Erkinbek – Akbajpaka, Ergesz – Ałtyntujaka, Kubatkuł – Żibekżała. Najpierw, jak należało, jechali wolno dokoła podwórza, potem przez ulicę na skraj wsi i dalej już pomknęli kłusa przez zaśnieżone pola. Dzień wstał słoneczny, promienny, jaśniejący już wiosennym światłem. Góry tam na wyżynach były białe, jakież białe, a takie ciche i jasne, że gdyby na ich białym zboczu znalazła się mucha, to nawet ją można by słyszeć i widzieć. Zima się przytaiła, na słońcu zaczęło przygrzewać.

Konie biegły raźnie. Już bardzo chciały się rozprężyć, pohasać. Chłopcy zwolnili wodze, szybciej, coraz szybciej! Korciło, żeby popędzić galopem. Sułtanmurat był pierwszy, Anataj za nim.

– Szybciej, cóż tak wolno! – podbechtywał go.

Ale Sułtanmurat, jako dowódca, raczej nie pozwalał rozwijać szybkości. Rozgrzewka – to nie żadne tam wyścigi. To praca, trening koni, żeby potem w zaprzęgu lżej im było ciągnąć. Jechali więc całą grupą. Na polu się rozproszyli i znowu się akurat zebrali, gdy usłyszeli głosy dobiegające z pagórka. To uczniowie wracali ze szkoły. Zobaczyli desantowców i zaczęli krzyczeć, machać rękami. Chłopcy w odpowiedzi też krzyknęli, zamachali. Wracała ich klasa siódma i jeszcze inne klasy. Cała hałaśliwa gromada.

W tej gromadzie Sułtanmurat dostrzegł Myrzagul, od razu ją poznał. W jaki sposób – sam nie widział, ale to była ona. Poznał po twarzy, która mignęła otulona szalikiem, po sylwetce, ruchu, po głosie. Myrzagul też chyba go poznała. Zbiegła z góry razem ze wszystkimi, coś krzyczała i wymachiwała torbą. Chyba nawet zawołała: „Sułtan-mu-ra-a-at!" I widząc, że tak biegnie z rozrzuconymi rękami, że dąży prosto do niego, doznał olśnienia, nagle zrozumiał, że myślał o niej i tęsknił przez te wszystkie dni... Porwała go jakby fala radości – poniosła, poniosła, zakręciła...

Jakoś tak się stało, że chłopcy pogalopowali w stronę pagórka, z którego schodzili ich szkolni koledzy. Popędzili szybko, minęli pole i skierowali się na zbocze. Mogli przejechać obok pagórka po jego skłonie, kawalkadą przed pełnym zachwytu wzrokiem kolegów i dalej do stajni. Sułtanmurat miał taki zamiar. Ale Anataj nagle wyrwał się do przodu. Jego Oktor był szybki.

– Stój, dokąd, nie pędź! – zawołał Sułtanmurat, Anataj jednak nawet się nie obejrzał.

Dziwna myśl uderzyła Sułtanmurata: „Widocznie Anataj chce, żeby Myrzagul go zobaczyła!" Gniew go ogarnął, nie potrafił się opanować, popędził, zakrzyczał, zahukał, pochylił się na szyję Czabdara i już prawie doganiał Anataja. Anataj zaś coraz bardziej przyśpieszał. Rozpoczęła się gonitwa – kto pierwszy dopadnie do Myrzagul, kto dowiedzie swojej zręczności i przewagi.

Cdn.

1

# TYTUS, ROMEK I A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO-CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Kazimierz Pasek, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska.

TELEFONY:

| | |
|---|---|
| Red. naczelny | 21-15-61 |
| Sekr. redakcji | 28-25-48 |
| Dział Łączności z Czytelnikami | 28-56-18 |

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, ktora jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne

Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna

Henryka Żochowska

Zam. 1606/G F-97

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa



NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

00-561


Na Aksaj, orać rolę Aksaju, gdy tylko snieg spłynie! Na Aksaj, chodzić za pługiem po Aksaju, gdy tylko ziemia ożyje!

Ale wszędzie jeszcze leżała zbita warstwa śniegu. Zbliżał się jednak ten dzień. I wszystko na to wskazywało.

Zbliżał się ten dzień...

Różnie nazywano konie przeznaczone do orki na Aksaju. Jedni mówili – desantowe, inni – aksajskie, ale fakt faktem, że po jakichś dwóch tygodniach wyróżniały się spośród innych koni w stajni. Syte, napojone, wyczyszczone, stały rzędem, cieszyły oczy – mięśnie ich się wzmocniły, spojrzenie nabrało żywości, czujnie strzygły uszami. Obudziła się w nich końska natura i każdy znów stał się taki jak dawniej, wróciły stare cechy, zapomniane nawyki. Już się przywiązały do swoich nowych gospodarzy. Cicho, jakby szeptem, łagodnie rżały, odwracały się słysząc znajome głosy i kroki, ufnie podsuwały jedwabiste chrapy. I chłopcy się przyzwyczaili, po gospodarsku pokrzykiwali włażąc koniom niemal pod brzuchy: „Zabierz no tę nogę, nastąp się! Stój, stój, głupi łbie, jeszcze zdążysz! Widzieliście, jak to lezie, przymila się, spryciarz! Figę dostaniesz, nie jesteś tu jedyny!"

Przez pierwsze dni konie wlokły się do wodopoju, jakby na pół ślepe, a potem zaczęły hasać, zwłaszcza, gdy wracały znad rzeki. Chłopcy gnali je wszystkie razem, każdy jechał na oklep na swoim bojowym koniu. Bojowym koniem Sułtanmurata był Czabdar, Anataja – Oktor, Erkinbeka – Akbajpak, Ergesza – Ałtytujak, a Kubatkuła – Żybekżał. Otaczali ten mały tabun ze wszystkich stron i pędzili do rzeki.

W zimie bardzo ważne jest, żeby wodopój był wygodny, żeby zejście do wody nie było śliskie. Zwłaszcza jeżeli dużo koni naraz chce się napoić. Koniecznie więc należy zawczasu obrąbać lód koło brzegu, na niebezpiecznych miejscach podesłać słomy. A w silne mrozy wybijać przeręble. Sułtanmurat ściśle pilnował dyżurów: każdy kolejno miał dbać o to, żeby z wodopojem nie było kłopotów.

Bez pośpiechu, nie tłocząc się, konie pod nadzorem oraczy piły czystą, zimną, bieżącą wodę. Woda wypływała tu spod lodu po kamienistym brodzie i znowu spływała po kamieniach pod lód. A tam bulgotała, podzwaniała, tłukła się o twardą skorupę lodu...

Konie jakby nasłuchiwały, przestawały pić, grzały się w krótkich promieniach słońca i znowu syciły się wodą. Potem wolno wychodziły na drogę i wracały do stajni. Dokazując, chrapiąc, rozdymając nozdrza, biegały tam i z powrotem, machały rozpuszczonymi ogonami, brykały, stawały dęba. Chłopcy harcowali dokoła z krzykiem i śmiechem.

Po pewnym czasie coraz częściej ktoś zachodził, podziwiał konie desantu. Takie były teraz jakby na nowo odrodzone te dawne szkapy. Staruszkowie korzystali z okazji, żeby porozmawiać o tym, jak to nie ma na świecie wdzięczniejszego zwierzęcia niż koń, jeżeli jest w pracowitych, dobrych rękach. Wystarczy zrobić koniowi tyle dobrego, co kot napłakał, a odpłaci za to stokrotnie. I opowiadali, jakie to bywały konie w dawnych czasach!

Jedynie przewodniczący Tynalijew skąpił pochwał. Poważnym, krytycznym wzrokiem przyglądał się koniom, a zwłaszcza całej grupie desantowej. Kontrolował, co się z czym dzieje, jak jest z pługami, czy uprząż gotowa, czemu nie załatana dziura w czyichś porciętach – jeżeli matka nie ma czasu, czy to trudno samemu wziąć igłę do ręki? A derki? Kiedy wreszcie będą gotowe derki? Nie zabiorą ze sobą stajni na Aksaj, a noce w stepie będą chłodne. Poganiał, przypominał, że czasu jest coraz mniej, że za późno będzie na Aksaju robić to, co powinno się zrobić teraz. Nieraz dochodziło do krzyków, do awantur, zwymyślał brygadzistę Czekisza za to, że woźnice nie zdążyli wcześniej przywieźć na mażarach suchej koniczyny, specjal-

Dokończenie na str. 7